

Fragment relacji świadka historii



PELAGIA KABAJ

ur. 1940, Siedliska



Zakres terytorialny i czasowy	Siedliska, Gębczyce, 1946
--------------------------------------	---------------------------

Okoliczności przyjazdu rodziny do Gębczyc w 1946 roku

Moi rodzice przed wojną mieli małe gospodarstwo, którym zajmowała się mamusia. Dom wybudowany był na polu, które mamusia dostała w posagu. Natomiast tatuś, niestety, nie miał żadnej pomocy od rodziny z tego powodu, że jego rodzice wyjechali do Stanów Zjednoczonych przed samą wojną. Bardzo dużo ludzi wtedy wyjeżdżało. Nie wiadomo, jak zginęła mama mojego taty. Natomiast jego tatuś zginął prawdopodobnie w wypadku samochodowym. Więc mój tata nie miał żadnych finansowych możliwości, żeby pomóc rodzinie. Ale że miał ukończoną szkołę podstawową i niepełne gimnazjum, pełnił funkcję nadzorującego nad Wisłą. Głównie chodziło o wiklinę, to znaczy o materiał, z którego słynęła okolica, czyli z wykonywania koszy, koszyczków, a nawet koszy na wozy konne. To kosztowało. Jeżeli ktoś chciał to robić i na tym zarabiać, to pewnie musiał płacić albo odrobić. Różnie to bywało. Dlatego też rodzice mieli warunki, by utrzymać dzieci. Nasza rodzina jeszcze nie była tak liczna, ale już dość liczna. Niektóre dzieci, tak jak ja, urodziły się w wojnę. Ale w rodzinach było też młodsze rodzeństwo i trzeba było wszystkich wykarmić. Więc dzieci też pomagały, głównie bogatym rolnikom, których było niewielu. Jeżeli ktoś posiadał pięć czy sześć hektarów, to już rodzina się utrzymywała i żyła na dobrym poziomie. Na jarmarkach rolnicy sprzedawali nie tylko owoce czy jajka. Jako dziecko byłam na takim jarmarku. Tam było wszystko. Była część, gdzie sprzedawano krowy, konie. Po wojnie ojciec już nie miał tej posesji, ja bym to nazwała rządowej, w związku z tym trudno było zapewnić utrzymanie rodziny. Wtedy trafiła się możliwość wyjazdu na Ziemię Odzyskaną, na Zachód. Najpierw tatuś pojechał sam. Myśmy wszyscy zostali w domu. Pod koniec 1945 roku i 1946 roku ludzie wyjeżdżali, ponieważ każdy gdzieś tam na Zachodzie miał rodzinę czy znajomych. Mój tatuś wybrał się na Dolny Śląsk. Do Krakowa jechał autobusem z Koszyc, małego miasteczka, przez które przebiegał szlak wileński. Tatuś dowiedział się, że ktoś znajomy jest na Śląsku w Gębczycach, niewielkiej miejscowości w pobliżu Strzelina. To małe powiatowe miasteczko było zniszczone. Na rynku leżał gruz. Jak wiadomo, Wrocław był bardzo zniszczony, a Strzelin znajdował się w pobliżu. Więc jak toczyło się to całe nieszczęście we Wrocławiu, to i nad Strzelinem leciały samoloty. Kilka domów było zniszczonych całkowicie. Prawdopodobnie na wzgórzu stał piękny kościół, który został całkowicie zniszczony przez Niemców. Jak tatuś przyjechał do Gębczyc, okazało się, że są tu dwie fabryki. Potrzebowali ludzi do pracy. Jedna to kamieniołom podlegający Strzelinowi, a druga to kopalnia odkrywkowa, gdzie wydobywano glinę ogniotrwałą. Urobek ładowało się na specjalne wózki. Niedaleko była stacja kolejowa. Można było jechać w kierunku Wrocławia, Kłodzka, Międzyzylesia. Z przesiadką również do Kudowy i do wszystkich innych miejsc w Kotlinie Kłodzkiej. To co zostało wydobyte, wieziono na stację, gdzie przeładowywano na wagony towarowe i wywożono. Tak było z kamieniami, które w zakładach formowano w specjalnych formach w bryły w kształcie prostopadłościanu. Wywożono je na wagonach ciągniętych przez lokomotywę. Więc tatuś tutaj miał pracę i po kolei myśmy się zjeżdżali. Tatuś oczywiście miał dom, ogród, duży sad z trzema rzędami drzew, który miał siedemdziesiąt arów. Dalej jeszcze było kawałek pola przynależnego do tego domu. Najpierw tatuś zabrał mamusię i mnie jako najmłodszą. Miałam sześć lat i kilka miesięcy. Siostry, które miały szesnaście lat, czternaście lat i Hela, trzy lata ode mnie starsza, rządziły się same. Starsze umiały upiec chleb. Za pół roku lub rok tatuś sprowadzał następne dzieci. Przywiózł dwie młodsze siostry, następne kolejne dwie. A później dorosłe pojechały w inne miejsce na Ziemiach Zachodnich, w

Zielonogórskie. I tam dwie siostry, które przerwały naukę w szkole podstawowej z powodu wojny, kończyły szkoły dla pracujących i powychodziły za mąż. A my, pięć sióstr, mieszkaliśmy najdłużej z rodzicami. Tatuś nie sprzedał naszego domu rodzinnego i stoi do dzisiaj. Wynajął dom, ale nie brał za to pieniędzy. Ludzie w nim mieszkający mieli pilnować, a on co roku jeździł i patrzył, jak oni tego domu pilnują, jak oni w tym domu mieszkają. No i czy też trochę pomagają w udoskonaleniach. Bo przecież jak ja się urodziłam, to tam było światło z lampy naftowej. A dopiero później nastąpiła elektryfikacja w naszej wsi. Pamiętam, jak wbijali słupy elektryczne. Gdy miałam sześć lat, to światło już było. Nie wszędzie, ale w mieszkaniu było. Na Zachodzie było trochę inaczej, wszystko zagospodarowane. Tam o świetle nie było mowy. Tutaj, jak ktoś nie miał radia, to na słupach telefonicznych były głośniki nazywane kołchoźnikami. Bardzo lubiłam słuchać muzyki z tych głośników. Nadawano tylko jeden program i piosenki polskie. Tam nad Wisłą w dolinie siedziała dziewczyna... To pamiętam. To było cudowne.

Data i miejsce nagrania	14 czerwca 2023, Bielawa
Rozmawiał/a	Beata Hebzda-Sołogub
Redakcja	Jadwiga Horanin
Prawa	Forum Dialogu Między Kulturami